60 sekund

Nie znoszę podejść. Ciężki wór wgniata mnie w śnieg, dyszę jak lokomotywa, ten wysiłek "wybiera" mnie fizycznie, psychicznie a nawet emocjonalnie. Brakuje w nim dynamiki ... aż w końcu znajduję rytm, "mantrę podejścia" i idę. Prawdziwe szczęście zaczyna się jednak kiedy stoję na przednich zębach raków lub kiedy widzę jak pierwsza kropelka krwi z kostek na mojej dłoni wklinowanej w rysę szuka ujścia w wyschłych korytach bruzd na skórze wyżłobionych przez ciepło, zimno, skałę, uściski rąk, zaciskane pięści, rozczapierzone palce wymachujące na pożegnanie, delikatny dotyk innej dłoni. Uwielbiam te chwile kiedy przednie zęby raków wgryzają się w lód. Zostawiam dziury, rany, które wkrótce się zabliźnią. Już następnego dnia nie będzie ich widać. Następnego dnia ten kawałek lodu będzie wyglądał nieco inaczej niż dzisiaj, a te dziury mają na to naprawdę znikomy wpływ. Chwila kiedy się zatrzymuję i spoglądam przed siebie - w górę, a potem patrzę w dół. Pozycja i spojrzenie jak przy pisuarze, tylko widoki zdecydowanie lepsze. Wsłuchany w swój oddech, tępo uparty, pcham się do góry. Zawsze najpierw poddają się łydki. Szczególnie wtedy gdy lód nie jest dość stromy. Opieram się na kolanach. Ten brak zdecydowania w stromiźnie pionu męczy i kusi by stanąć pełną stopą jak normalny człowiek, ale doskonale wiem, że się nie da. Siedzę teraz w dość dziwnej, powiedziałbym kuriozalnej pozycji. Plecami oparty o ścianę usiadłem na piętach, nogi zgięte w kolanach i wszystkie pionowe zęby w rakach wgryzione w lód a nade mną moje dziaby wbite w tą zmarzlinę na pełną głębokość ostrza. Niczym rozciągniętymi szelkami połączony jestem z nimi cienkimi tasiemkami. Odpoczywam. Naprawdę czuję się komfortowo. Uspokajam się. Teraz jest moment by nasycić zmysły.

Wzrok. Siedzę w potężnym lodowym kuluarze wtulonym pomiędzy skalne formacje. Nade mną jakieś 300m lodu i śniegu zwieńczone potężnym serakiem, który z tej odległości nie robi wrażenia, ale ja wiem, że z bliska ma rozmiary przyzwoitego bloku mieszkalnego. Pode mną, w dół, około 400m tej samej białej struktury niby nieruchomej, ale jakże żywej. Jutro będzie już inna, a w przyszłym roku ... być może w ogóle nie do poznania albo jej nie będzie. Przede mną Ząb Giganta a za nim majestatyczna północna ściana Grandes Jorasses pokazuje swój profil. Zaczyna przypominać mi profil twarzy starego Indianina. Być może właśnie tak wyglądać miał Inczu-Czuna. Ostre rysy skalnych zacięć, filarów, z których wyobraźnia tworzy nos, bruzdy i zmarszczki na twarzy. Widać nawet spokojne, pełne zrozumienia, pogodzenia się z czasem i losem oczy.

Zapach. Ciepło dnia uwalnia śpiące w lodzie i skale magiczne ekstrakty. Zapach rozgrzewającej się w słońcu skały jest obok dobrej kawy i kobiety po wyjściu spod prysznica najbardziej działającym na mnie ... doznaję czegoś na kształt euforii, nagle czuję, że mogę ... że mogę osiągnąć wszystko czego tylko zechcę. To także zapach, który kojarzy mi się z niepewnością, niespodzianką, przygodą. Jak ktoś, kto kryje w sobie tajemnicę, którą pragnie się ze mną za chwilę podzielić. Wdycham te tysiącletnie tajemnice uwięzione w kamieniu. Rodzi się emocjonalna więź. Do tego dołącza zapach śniegu i lodu. Pachną bardzo organicznie, jak życie. W końcu to woda a woda to życie. Nasiąkam tą tajemnicą życia zaklętą w skale i w lodzie, chłonę wieki.

Dotyk. Jedynym czego teraz dotykam to zaciskana w wilgotnych rękawiczkach lina, która od czasu do czasu, nieśpiesznie, ale miarowo przesuwa się w moich dłoniach. Niebiesko-żółte nitki oplotu a w środku poliamidowy rdzeń. Jesteśmy bliźniakami bez matki, połączonymi kolorową pępowiną.

Smak. Żelazisty smak zmęczenia w ustach szybko mija. Jest pragnienie. i chęć na czekoladowego batona, którego za chwilę zjemy razem.

Słuch. Kolejny po zapachu zmysł, któremu się oddaję. Spokój, ale nie cisza. Jest podmuch wiatru pędzącego kuluarem. Wpada w małżowiny uszu i na ich zawirowaniach tworzy melodie, czasami coś mówi, ale nie pyta. Gdzieniegdzie słychać spadający kamień, jak znak przestankowy, uderza w oddali o skalny filar i słucham kolejnego zdania. Wtedy pojawia się ten straszny dźwięk. Szept wiatru znika, ucieka. Wkrada się niemy, narastający, monstrualny świst. Tak słychać tylko coś dużego. Coś przed czym umknął nawet szum kuluaru. Z góry leci w moim kierunku kamień. Rośnie. Kulę się w sobie, kurczę się jak prącie w lodowatej wodzie. Czekam na moment kiedy uderzy ... byle nie we mnie. Przelatuje blisko, bardzo blisko, z prawej strony. Jest wielkości telewizora marki Rubin. Spada gdzieś poniżej mnie. Głuche, stłumione uderzenie jak strzała wbijająca się w deskę, ale głośniej, zdecydowanie głośniej. Odbija się i zmienia trajektorię lotu zmierzając w stronę lewej ściany kuluaru gdzie z szybko gasnącym hukiem, uderza w skały. Zapach uwolniony tym zderzeniem odznacza się wyraźnie i ostro na łagodnym tle pozostałych woni. To zapach strachu, przerażenia i tej szczególnej niepewności, która zamyka oczy.

- Musiał uderzyć w coś dużego by tak nagle zmienić kierunek spadania - myślę na głos.
Ciągnę za linę. Idzie wyjątkowo gładko i szybko ... za szybko. Już się domyślam, już wiem, już widzę pusty koniec niebiesko-żółtej żmijki. Końcówka jest w innym kolorze i nieco poszarpana. Pośpiesznie ciągnę. Na białej karcie lodu zapisuję karmazynowe haiku. Jutro już nikt go nie przeczyta. Jutro to miejsce będzie wyglądało nieco inaczej, za rok będzie zupełnie inne ... a może w ogóle się nie uformuje. W oddali, skąpana w słońcu, zamyślona twarz Inczu-Czuny. Nawet nie drgnęła mu powieka. Pogodzony z losem, wsparty na przeszłości - milczy. Wiatr powraca i zaczyna grać w małżowinach uszu. Czekoladowy baton, nieruszony, pozostaje w kieszeni. Dłonie mocno zaciskają się na linie. Z mokrych rękawiczek jak z gąbki oddzielają się kropelki wody.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Dhervhel, dodano 01.03.2017 09:48

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.